A tu strzęp białego płótna,
Co służył mu za kapelusz,
Był dobry,

Pot jego wysiłków sprowadził
Życiodajny deszcz.
Pszczoły go odnalazły,
Zastygały na jego ustach jak kłamstwa
Zacierając rysy.

Myślały, że śmierć tego warta, lecz ja
Muszę odzyskać siebie, królowę.
Czy ona zmarła, czy śpi?
Gdzież się podziewa
Z ciałem płowo-czerwonym i szklistymi skrzydłami?

Teraz wzlatuje
Groźna jak nigdy, czerwona
Szrama na niebie, krwawa kometa
Ponad machiną śmierci — —
Grobowcem, domem z wosku.

Teresa Truszkowska

Przezimowanie

To jest okres spoczynku, nie ma nic do roboty.
Wprawiłam w ruch kleszcze położnej,
Mam swój miód.
Sześć słoi miodu,
Sześć kocich oczu w piwnicy winnej;

Przezimują w mroku bez okna,
W głębi domu,
Obok stęchłego dżemu poprzedniego lokatora
I butelek pustych blasków — —
Dżynu pana takiego a takiego.

To pokój, w którym nigdy nie byłam,
To pokój, w którym nie mogłam oddychać.
Ciemność skupiona w sobie jak nietoperz,
Brak światła
Poza pochodnią i jej nikłym żółtym

Chińskim odblaskiem na przerażających przedmiotach — —
Dno głupoty. Rozkład.
Posiadanie.
Oni mnie posiadają.
Ani okrutni, ani obojętni,

Tylko nieświadomi.
To czas przetrwania dla pszczół — pszczoły
Tak niezwykle powolne
Ustawiają się jak żołnierze
Do puszek z syropem

By uzupełnić miód, który im zabrałam.
Tate i Lyle utrzymują je,
Subtelnym śniegiem.
Tate i Lyle żywią je zamiast kwiatów.
One przyjmują to. Nastaje chłód.

Teraz zbijają się w kulę,
Jak ciemność
Umysłu przeciw tej całej bieli.
Uśmiech śniegu jest biały,
Rozpościera się jak figurka z Miśni,

Do której w lecie
Mogą tylko zanieść swe zmarłe.
Pszczoły to kobiety,
Damy dworu i królowa.
One pozbyły się mężczyzn,

Tych tępych, prostackich gburów.
Zima jest porą kobiet — —
Kobieta robi na drutach,

Przy kołysce z hiszpańskiego orzecha,
Jej ciało jak cebulka na chłodzie jest zbyt ospałe, by myśleć.

Czy ul przetrwa, czy gladiole
Przechowają swój żar
Do następnego roku?
Jaki smak będą mieć wigilijne róże?
Pszczoły wzlatują. Wyczuwają wiosnę.

Teresa Truszkowska

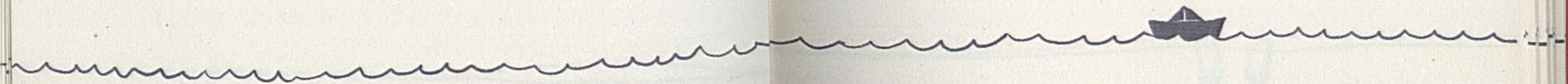

Stłuczenie

Fiolet spływa w to miejsce.
Cała reszta skóry zmyta
Na barwę perły.

W jamie skalnej
Morze ssie opętańczo,
Wydrążenie jest osią morza.

Znak przeznaczenia,
Wielkości muchy,
Pełznie po ścianie.

Serce zamyka się,
Morze cofa,
Lustra są zakryte.

Teresa Truszkowska

Krawędź

Kobieta osiąga doskonałość.
Jej martwe

Ciało ma uśmiech dokonania,
Złuda greckiego determinizmu

Płynie w zwojach jej togi,
Jej bose

Stopy zdają się mówić:
Doszłyśmy dotąd, to już kres.

Zmarłe dzieci skręcone jak białe węże,
Każde przy małym

Dzbanie mleka już próżnym.
Ona zwija je

Z powrotem w swe ciało jak
Róża swe płatki, gdy ogród

Tężeje i zapachy uchodzą
Z głębokich świeżych krtani kwiatu nocy.

Księżyc nie musi się smucić
Patrząc z kościanego kaptura.

On przywykł do tych spraw.
Jego szata żałobna powiewa.

Teresa Truszkowska

Słowa

Topór
Po jego ciosie las śpiewa,
I te echa!
Echa wędrowne
Jak odbiegające konie.

Sok
Tryska łzami, jak
Woda próbująca
Ustalić swe lustro
Nad skałą,

Którą obraca
Jak białą czaszkę
Zżartą przez zieleń wodorostów,
Po latach
Spotykam je na drodze —

Oschłe słowa bez jeźdźców,
Niestrudzony stukot kopyt,
Podczas
Gdy z głębi wód gwiazdy stałe
Kierują życiem.

Teresa Truszkowska

W gipsie

Nigdy nie wyjdę z tego! Teraz jest nas dwie:
Ta nowa biała osoba i dawna żółta,
I biała osoba jest z pewnością ważniejsza.
Obywa się bez pokarmu, jest więc jak prawdziwa święta.
Z początku nienawidziłam jej za brak osobowości —
Leżała ze mną w łóżku jak martwa
I bałam się jej, gdyż miała moje kształty,

Tylko była bielsza, bardziej wytrzymała, bez mych dolegliwości.
Przez tydzień spać nie mogłam, gdyż była tak zimna.
Oskarżałam ją o wszystko, lecz nie dawała odpowiedzi.
Nie mogłam pojąć jej głupiego zachowania!
Gdy ją trącałam, była spokojna jak prawdziwy pacyfista.
Wtedy zrozumiałam, że pragnęła mojej miłości.
Zaczęła się rozgrzewać i dostrzegłam jej zalety.

Nie mogła istnieć beze mnie, więc była mi wdzięczna.
Dałam jej duszę i wykwitłam z niej, jak róża
Wykwita w wazonie z niezbyt cennej porcelany.
I to ja przyciągałam uwagę wszystkich,
A nie jej piękność i biel, jak z początku myślałam.
Opiekowałam się nią, a ona to chętnie przyjmowała — —
Można było dostrzec jej mentalność niewolnicy.

Nie przeszkadzała mi jej służalczość, a ona to lubiła.
Rano budziła mnie wcześnie odbijając słońce
Swym niezwykle białym torsem i mogłam dostrzec
Jej schludność, spokój i cierpliwość.
Pobłażała mym słabostkom jak wzorowa pielęgniarka,
Utrzymując me kości na miejscu, by zrosły się jak trzeba.
Z czasem nasz wzajemny stosunek pogłębił się.

Przestała do mnie ściśle przylegać, była z rezerwą,
Czułam, że krytykuje mnie wbrew sobie,
Jakby me zwyczaje w jakiś sposób ją obrażały.
Przepuszczała przeciągi i stała się roztargniona.
A moja skóra swędziała i odpadała płatami,
Dlatego tylko iż pilnowała mnie tak bardzo.
Wtedy pojęłam, na czym polegał kłopot: uważała się za
[nieśmiertelną.

Chciała mnie porzucić, uważając siebie za ważniejszą,
Miała żal o to, że trzymam ją w ciemności — —
I że marnuje swój czas obsługując półtrupa!
Skrycie zaczęła wierzyć, że umrę.
Wtedy mogłaby pokryć moje usta, oczy, mnie całą,
I obnosić mą namalowaną twarz, jak skrzynia mumii
Ukazuje twarz faraona, choć jest z gliny i wody.

Nie mogłam pozbyć się jej w żaden sposób.
Tak długo podtrzymywała mnie, aż do cna osłabłam — —
Zapomniałam nawet chodzić i siadać.

Starałam się więc jej nie denerwować
I nie chełpić się zapowiedzią zemsty.
Współżyłam z nią zatem jak z swą własną trumną:
Lecz wciąż, wbrew chęciom, byłam od niej zależna.

Często myślałam, że mogłybyśmy iść ramię w ramię — —
Mimo wszystko ta bliskość była rodzajem małżeństwa.
Teraz rozumiem, że to musi być jedna z nas.
Ona być może jest święta, a ja brzydka i owłosiona,
Lecz wkrótce odkryje, że to nie ma znaczenia.
Zbieram swe siły; pewnego dnia obejdę się bez niej.
Wtedy zginie wraz ze swą pustką i odczuje mój brak.

Teresa Truszkowska

Martwo urodzone

Te poematy nie żyją: to smutna diagnoza.
Rozwinęły palce u rąk i nóg dosyć dobrze,
Ich małe czoła nabrzmiały skupieniem.
Jeśli nie mogą przechadzać się jak ludzie,
To nie z braku macierzyńskiej miłości.

Och, nie mogę zrozumieć, co im się stało!
Mają prawidłową formę, miarę i każdy fragment.
Tkwią tak dobrze w konserwującym płynie!
Wciąż uśmiechają się i uśmiechają do mnie,
A jednak płuca im się nie wypełnią, nie zacznie bić serce.

To nie są świnie, to nie są nawet ryby,
Choć są do świń i do ryb podobne — —
Lepiej gdyby żyły, jak dawniej było.
Lecz są martwe, ich matka niemal umiera z rozpaczy,
A one wpatrują, się głupio i nic nie mówią o niej.

Teresa Truszkowska